Nr. 19. Sobota, dnia 6-go maja 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę drugą po Wielkanocy.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Piotra rozdział II, wiersz 21—25.

Najmilsi! Chrystus ucierpiał za nas, zostawiając wam przykład, abyście naśladowali tropów Jego, który grzechu nie uczynił, ani naleziona była zdrada w uściech Jego. Który, gdy Mu złorzeczono, nie złorzeczył; gdy cierpiał, nie groził, lecz się podawał niesprawiedliwie sądzącemu. Który sam na ciele Swem grzechy nasze nosił na drzewie, abyśmy umarłszy grzechom, żyli sprawiedliwości, którego sinością jesteście uleczeni; boście byli jako owce błądzące: ale teraz jesteście nawróceni do pasterza i biskupa dusz waszych.

EWANGELIA

u św. Jana rozdział X, wiersz 11—16.

Onego czasu rzekł Jezus do Faryzeuszów: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje. Lecz najemnik i który nie jest pasterzem, którego nie są owce własne, widzi wilka przychodzącego i opuszcza owce i ucieka, a wilk porywa i rozprasza owce. A najemnik ucieka, iż jest najemnikiem i nie ma pieczy o owcach. Jam jest pasterz dobry, i znam Moje i znają Mnie Moje, jako Mnie zna Ojciec, i Ja znam Ojca, a duszę Moją kładę za owce Moje. I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni, i one potrzeba, abym przywiódł i słuchać będą głosu Mego: i stanie się jeden pasterz i jedna owczarnia.

NAUKA.

Do dzisiejszej Ewangelii jedną tylko, ale szczególnie ważną podaję uwagę, mianowicie o owczarni Chrystusowej, która znaczy to samo, co i Królestwo Boże, albo Kościół św. O tem Królestwie Bożem, (którego Królem i Panem jest Pan Jezus, prawdziwy Bóg i człowiek prawdziwy, a wierni Chrystusowi są Jego obywatelami i poddanymi), przepowiadali prorocy, że owładnie wszystkie narody i że mu nie będzie końca, bo począwszy się na ziemi, trwać będzie po wszystkie wieki w wieki; i ostatni z proroków św. Jan Chrzciciel zapowiada, że już przybliżyło się to Królestwo Boże, bo pośród ludzi stanął Ten, co je miał utworzyć. Z tego, że Kościół Chrystusowy czyli Królestwo Boże obejmować ma wszystkie narody i wszystkie czasy, czyli że jest powszechnym, wynika, że może on być tylko jeden. I rzeczywiście Pan Jezus jeden tylko Kościół założył, jak przekonujemy się z tego, co powiedział Piotrowi św.: „Tyś jest opoka; a na tej opoce zbuduję Kościół mój", a nie: Kościoły moje; „a bramy piekielne nie zwyciężą go". I w dzisiejszej Ewangelii wyraźnie mówi Pan, że będzie „jedna owczarnia i jeden pasterz". i że do iej owczarni potrzeba, żeby przywiódł „drugie owce, które nie są z tej owczarni". Kościół święty, jak naucza Paweł św., jest „filarem i utwierdzeniem prawdy", a sam Pan Jezus nakazuje, „że jeśliby Kościoła nie usłuchał, niechci będzie jako poganin i celnik". I jest to jednomyślna nauka wszystkich Ojców św., że kto nie należy do tej owczarni Chrystusowej, ten też nie należy do owieczek Chrystusowych, głosu Jego nie słucha i cząstki z Nim mieć nie może; że kto nie ma Kościoła za Matkę, ten nie ma też Pana Boga za Ojca; że wreszcie tak samo, jak prócz Pana Jezusa „nie jest pod niebem inne imię dane ludziom, w którembyśmy mieli być zbawieni", tak też poza Kościołem Chrystusowym niemasz dla nikogo bezpieczeństwa zbawienia wiecznego.

Kościół Chrystusowy, będąc prawdziwem Królestwem, jest tem samem w wielu rzeczach podobnem też do innych królestw na ziemi; ale będąc Królestwem w całem i ścisłem tego słowa znaczeniu prawdziwie Bożem, jest w wielu też rzeczach zupełnie innem, odmiennem od królestw zwyczajnych, według tego, co powiedział Pan Jezus: „Królestwo moje nie jest z tego świata." Najprzód tedy, każde Królestwo jest samodzielne, czyli nie podlega innemu Królestwu, ale Królestwo Boże właśnie dla tego, że królem Jego jest sam Bóg, ma szczególne prawo do niezależności; a jeżeli się zdarza, że którykolwiek z królów ziemskich ogranicza tę niezależność Kościoła św., to jest to bezbożny zamach na najświętsze i nigdy nieprzedawnione prawa Boga i Pana naszego. Dalej, jeżeli według słów Jezusowych „wszelkie królestwo rozdzielone przeciwko sobie będzie spustoszone", to więcej niż w jakiemkolwiek ziemskiem, powinna być i jest w tem Królestwie Bożem jedność najzupełniejsza; bo jak mówi Paweł św.: „jeden Bóg, jedna wiara, jeden Chrzest", t. zn. jeden Bóg na niebie i jeden też najwyższy namiestnik Jego na ziemi; jedna w całym Kościele nauka i jednakie w całym Kościele Bożym Sakramenta św. Ktokolwiek odpada od tej jedności, odpada też od Kościoła Chrystusowego; uporne przeczący któremukolwiek z artykułów Wiary, staje się heretykiem; uporne uchylający się od św. Sakramentów, jest obumarłym członkiem Kościoła, suchą gałęzią na drzewie Kościoła. Oni to przewrotnością swoją nie sprawiają tego, żeby Kościół św. przestawał być jednym, tylko sami odpadają od tej jedności, i już do jednej owczarni Chrystusowej nie należą.

Królestwa ziemskie mają swoje ustawy i prawa, ale mniej albo więcej zmienne i niedoskonałe; Boże Królestwo ma ustawy ze wszech miar doskonałe i święte i dlatego nieodmienne: przykazania Boże, a jako objaśnienie i uzupełnienie ich, przykazania kościelne wydane pod wpływem Ducha św. Ma Królestwo Boże skarb swój, nie jak ziemskie, skarbielne złoto i srebro, ale zasługi męki i śmierci Pana na-

szego Jezusa Chrystusa, Matki Najświętszej i innych Świętych Pańskich. Ma ono i zbrojownię swoją, składającą się nie z mieczów i armat, ale zaopatrzoną w zbroję Bożą, o której Paweł św. tak mówi: „Stójcież tedy przepasawszy biodra wasze prawdą, a oblókłszy pancerz sprawiedliwości i obuwszy nogi w gotowość Ewangelii pokoju: we wszystkiem biorąc tarczę wiary, którąbyście mogli wszystkie strzały złośliwego zgasić. I przyłbicę nadziei zbawienia weźmijcie, i miecz ducha (które jest słowo Boże)." Jak wreszcie żadne królestwo nie może być bez urzędów i urzędników, tak i to Boże Królestwo, którem jest Kościół św., ma najwyższego Namiestnika, papieża, czyli Ojca św.; w zależności od niego, niby rządzców poszczególnych części królestwa, biskupów; i znów w zależności od biskupów, kapłanów, powołanych do pomagania Ojcu św. i biskupom w spełnianiu ich urzędów i obowiązków. I papież i biskupi i kapłani są ludźmi tylko, jak ludźmi tylko są wszyscy urzędnicy i dygnitarze we wszystkich królestwach ziemskich. Jedną jednak ci urzędnicy Królestwa Bożego mają zaletę, jakiej inni nie posiadają, że są, w najważniejszych przynajmniej sprawach, z łaski Bożej i za sprawą Ducha św. zupełnie niezawodni. Mianowicie wszyscy kapłani od papieża począwszy, a skończywszy na co dopiero wyświęconym młodym księdzu, są niezawodni w sprawowaniu Sakramentów św., tak dalece, że i najgorszy ksiądz, byle zachować formę i materyę Sakramentu, ważnie zawsze udziela Sakramentów św. wraz z łaską każdemu Sakramentowi właściwą. Wyjęty tu jest tylko jeden Sakrament pokuty, którego kapłan przez władzę duchowną do tego nieupoważniony, lub prawa tego pozbawiony, ważnie udzielać nie może nikomu, chyba umierającemu. Również ci, których „Duch św. postanowił biskupami, aby rządzili Kościół Boży, którego nabył Krwią Swoją," byle nie nakazywali widocznego grzechu przeciw któremukolwiek przykazaniu Bożemu, są, ilekroć rozkazują, w obrębie władzy sobie użyczonej niezawodnymi dla nas tłomaczami woli Bożej, i dlatego mówi do nich Pan Jezus: „Kto was słucha, mnie słucha; a kto wami gardzi, mną gardzi; a kto mną gardzi, gardzi Onym, który mię posłał." Ta niezawodność służy jedynie biskupom i tym, którzy dzierżą władzę biskupią. Wreszcie niezawodnym czyli nieomylnym jest papież w rzeczach wiary i obyczajów, ile razy przemawia, nie jako człowiek prywatny, albo jako uczony po ludzku, ale jedynie wtedy, gdy występuje jako nauczyciel wszystkiego Kościoła, jako ten, któremu rzeczono: „Alem Ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja: a ty niekiedy nawróciwszy się, potwierdzaj bracią twoję."

Chceszli człowiecze być odywatelem tego Bożego Królestwa, dzieckiem św. Matki Kościoła, chceszli mieć cząstkę w Jezusie Chrystusie i dziedzictwie Jego, chcesz stać się jednym z tych, do których Paweł św. mówi: „Już nie jesteście goście i przychodnie: aleście mieszczanie z świętymi i domownicy Boży, wybudowani na fundamencie apostołów i proroków, gdzie głównym węgielnym kamieniem sam Jezus Chrystus", koniecznie potrzeba, i sercem t. zn. z przekonania i dobrej woli uznawać za szczerą prawdę, i usty śmiało wyznawać wszystko, co Bóg objawił i przez Kościół swój św. do wierzenia podaje. Potrzeba powtóre sumiennie pełnić przykazania Boże i cokolwiek Bóg przez namiestniki swoje na ziemi nakazuje. Potrzeba po trzecie, chętnie i należycie uczęszczać do św. Sakramentów. W końcu pamiętaj, że Królestwo Boże jest ojczyzną naszą, świętą i trwałą; Kościół św. jest Matką naszą najserdeczniejszą, prawdziwszą i zacniejszą niż ta, która cię na świat wydała. Jeżeli poczuwasz się do obowiązku miłości dzielnej względem miłej ojczyzny, a serdecznej względem matki twojej, umiej też dzielnie, a serdecznie kochać Kościół św., który zabezpiecza ci nie tyle ziemskie, doczesne i znikome dobra, ale doprowadzi cię do szczęścia wiekuistego. X. J.

Sw. Stanisław, biskup krakowski.

Jednym z pierwszych męczenników polskich był św. Stanisław Szczepanowski, którego uroczystość obchodzimy 8 maja.

Urodzony ze szlachetnych i bogobojnych rodziców Wielisława i Bogny, już od zarania swego życia zaprawiał się do pełnienia cnót chrześciańskich, których wzór miał Święty przedewszystkiem w swych rodzicach.

Kształcił się najprzód w Gnieźnie, a później w Paryżu, gdzie postanowił prowadzić żywot zakonny; wróciwszy wszakże do kraju, za namową biskupa krakowskiego, Lamberta czyli Zusi, zmienił swoje zdanie i został świeckim kapłanem.

Po śmierci biskupa Lamberta, jednomyślnie duchowieństwo wybrało św. Stanisława na biskupa. Święty Stanisław, objąwszy w swe ręce ster dyecezyi, starał się o naprawę obyczajów wśród ludu polskiego. Widział wszakże Święty, że słowa jego i apostolska praca nie przyniosą zbawiennego pożytku, dopóki sam król Bolesław Śmiały nie przestanie prowadzić gorszącego życia.

Nie szczędzi próśb i upomnień, lecz król w grzechach swych zapamiętały, św. Stanisławowi śmierć zaprzysiągł. Pomimo nadzwyczajnych cudów, jakie czynił Bóg przez Swego sługę, z pośród których największym było wskrzeszenie Piotrowina, król trwał w swej zawziętości i szukał tylko okazyi, aby módz w jakikolwiek sposób pozbyć się św. Stanisława.

Gdy w końcu św. Stanisław króla za złe i gorszące życie ze społeczeństwa wiernych wyłączył, Bolesław uniósł się tak wielkim gniewem, że nie zważając na miejsce święte, gdzie podówczas święty biskup Mszę odprawiał, sam własną ręką biskupa zamordował 1078 r. Bolesław, dopuściwszy się tak strasznej zbrodni, musiał uchodzić w obce kraje. Opowiadają, że przed śmiercią, po długiej i ciężkiej pokucie miał to szczęście, że mu się ukazał sam św. Stanisław i w imieniu Bożem przebaczenia udzielił.

PRAWE OKO KOMENDANTA.

Rok pański 1797 kończył się na wybrzeżu Kalifornii w podmuchach piekielnego wichru południowo-wschodniego.

Maleńka zatoka San-Carlos, chociaż osłonięta przez przylądek Świętej Trójcy, pełna była huku fal. Piana morska uderzała w mur ogrodu Misyi, na wybrzeżu presidia piasek morski kręcił się wkoło i wzbijał aż do niebiosów, a komendant Hermenegild Savatierra, który wyglądał przez okno fortu, czuł, jak słona woda morska uderza mu w twarz... Komendant rozmyślał nad wypadkami roku, który

upłynął. Odznaczał się on na tem odludziu tą samą słodką monotonią, jak i poprzednie lata. Zaledwo uroczystości kościelne i przybycie zwykłego kuryera z listami z SanDiego, co następowało co sześć miesięcy, zakłócało ten spokój, trwający od wielu lat. Czasami, zrzadka tylko, zawitał do zatoki statek transportowy, lub ukazał się jaki cudzoziemiec, podróżny. Zresztą panowała tu zupełna pomyślność; żniwa były obfite, a wszelkie potrzeby Misyi i fortu były zaspokojone aż do zbytku; ojcowie nawracali Indyan i opiekowali się nimi troskliwie.

Ten mały światek, odosobniony od wszystkich, obojętnym był na wielkie wypadki polityczne i wojenne, które wstrząsały w posadach Europę i Amerykę...

Komendant odwrócił się od okna i posunął się ku ogniowi, wesoło płonącemu w drugim końcu wielkiej izby. Na stole obok, leżały kajeta małych Indyan, którzy tu mieli swoją szkołę. Komendant przyglądał się z zadowoleniem tekstom z Pisma Świętego, które dla ćwiczenia się w kaligrafii, mali czerwonoskórzy wypisywali wielkiemi, niezgrabnemi literami w kajetach. Nieraz duma zabłysła w oku komendanta... tak jest w oku, tylko w lewem oku, ponieważ prawe już przed dwudziestu laty, zamknęła mu na zawsze strzała indyjska...

W tej chwili zabrzmiał odgłos kroków. Ktoś wszedł. Był to cudzoziemiec, którego twarz, choć niezbyt pokorna, nie miała w sobie nic odpychającego. Miał on strój majtka i okryty był opończą z płótna, nasyconego smołą. Charakterystycznym był zapach suszonego dorsza, który uderzał od niego na trzy kroki...

Nieznajomy objaśnił, że nazywa się Peleg Scudder, a jest właścicielem goeletty »General Court«, z portu Salem w Massachussets; prosił, znając surowość regulaminów hiszpańskich, o pozwolenie przeczekania burzy w zatoce San-Carlos. Komendant przez chwilę namyślał się, wreszcie zgodził się, zastrzegając, stosownie do przepisów, ażeby nie było komunikacyi między fortem a goelettą. Wprawdzie komendant nie mógłby wzbronić siłą wejścia do zatoki, bo fort bez wałów, uzbrojony w dwie stare armaty miedziane z Manillis, posiadający za całą załogę kilkunastu starych weteranów, nie mógł mieć do tego pretensyj, ale zawsze — co regulamin, to regulamin. Kapitan Hermenegild Salvatierre za nic w świecie nie odstąpiłby od regulaminu.

— Co do pana, senior capitano — rzekł wreszcie stary komendant — przyjmij moją gościnność.

Gościnność została przyjętą. Co zaszło tej nocy między komendantem Salvattierą i jego gościem, z zupełną pewnością nie wiadomo.

Nie ulega wątpliwości, że Peleg Scudder miał rozpytywać komendanta o różne szczegóły, dotyczące jego osoby, a między innemi o stratę prawego oka. Mówiono jeszcze wiele rzeczy o tym pamiętnym wieczorze, a mianowicie, jakoby Peleg Scudder miał ofiarować komendantowi jakieś dziwnego kształtu przedmioty, i jakoby stary żołnierz podniecony zgubnym wpływem Pelega i szklankami aguardiente, wykonywał dziwne skoki i śpiewał nieprzyzwoite pieśni, — wszystko to przecież jest mało wiarogodnem....

To pewna, że równo z uderzeniem północy, Peleg Scudder, pomimo usilnych nalegań komendanta, ażeby pozostał na nocleg, oddalił się, ponieważ, jak twierdził, statek »General Court«, może już obecnie, przy spokojniejszem powietrzu, podnieść kotwicę... Nazajutrz rano, nie widziano żadnego statku, tylko w całej Misyi pozostał silny zapach suszonego dorsza, a zacni ojcowie misyonarze twierdzili, iż tej nocy słychać było, jak gdyby jakie dyabelskie psalmy...

Bicie w bęben, które zwiastowało rozpoczęcie się roku 1798, obudziło komendanta. Słońce rzucało całe garście palących promieni, a o burzy ani było słychać. Komendant przypomniał sobie zaszłe wypadki ubiegłej nocy i pobiegł czemprędzej do metalowego lusterka, zawieszonego obok krucyfiksu... O dziwo! Zamiast próżnego dołu, znajdowało się oko, prawe oko, równie pięknego wyglądu, jak lewe...

Przekształcenie to wywołało powszechną sensacyę pośród misyi i w presidio. Pierwotnie mniemano, że to cud, spowodowany przez błogosławionego San Carlosa, w celu tem skuteczniejszego nawrócenia pogan. Zdawałoby się, że nic słuszniejszego, jak to przypuszczenie, komuż właściwiej należałoby się dobrodziejstwo ze strony świętego, jeśli nie długoletniemu obrońcy wiary? A jednak zachowanie się komendanta budziło poważne wątpliwości. Nie chciał on kłamać, przyznając się do cudu, a nie miał znów powodu zmniejszać ufności w Świętego...

Pierwszy raz w życiu komendant Salvatierra musiał udawać polityka!

Tymczasem zaczęły krążyć dziwne wieści. Oko komendanta zdawało się wszystkim nienaturalne i nikt nie mógł na nie patrzeć bez przymrużenia powiek, tak było ono zimne, twarde i nielitościwe. Nigdy nie mrużyło się. Co więcej, zdawało się być obdarzone przerażającą zdolnością patrzenia w głąb człowieka; wejrzenie jego przeszywało i zdawało się dohadywać najtajniejszych myśli.

Weterani załogi, odtąd słuchali raczej oka niż głosu komendanta; służba zdawała się być pod ciągłym i nieustającym nadzorem tego zimnego wejrzenia; dzieci ze szkoły, robiły kleksy w kajetach na widok tego oka. Jednem słowem, w presidio, zamiast dawnego spokoju i kwitnącego szczęścia, zapanowała obawa, podejrzenia, niedowierzanie...

Sam komendant Salvatierra nie unikał fatalnego wpływu swego oka. Z początku jego ton i wejrzenie nie zgadzały się ze sobą; spojrzenie było piorunujące, słowa przyjacielskie i łagodne. Po sześciu miesiącach jednakowoż, czy wskutek wpływu otoczenia, witającego go teraz niedowierzaniem i przestrachem, czy z innych przyczyn, komendant zmienił ton. Głos jego stał się teraz twardy, jak wejrzenie, słowa nielitościwe i sceptyczne. Pod koniec roku widać było, że raczej cały komendant należy do swego nowego oka, niż oko do niego.

Dziwne te koliczności zaniepokoiły nawet dobrych ojców misyonarzy.

Ci, którzy z początku pierwsi przypisywali przywrócenie oka cudowi, zaczęli teraz mówić o czarach i szatańskiej sprawie. Gdyby nie wyjątkowe stanowisko komendanta, będącego najwyższą władzą, rzeczy mogłyby przybrać fatalny dla niego obrót... Swoją drogą, ojciec Manuel de Cortes, przedsiębrał rozliczne środki duchowne w celu nawrócenia grzesznika, ale bez dobrego skutku. Oko komendanta tak surowo wpatrywało się w ojca Manuela, gdy przybył w celu nawrócenia komendanta, że w zmięszaniu poczciwy misyonarz nietylko zupełnie się poplątał w swych argumentach, ale na-

wet, jak złośliwi twierdzą, popełnił kilkanaście herezyi. Nawet w kościele oko komendanta przerywało i mroziło największe zapały krasomówcze kaznodziei.

Straszne skutki takiego stanu rzeczy, poczęły się niebawem ukazywać.

W okolicy zapanowała nigdy niewidziana susza. Sąsiednie wzgórza przybrały brudno-żółty kolor bawolego kaftana komendanta. Wysuszona ziemia pękała, tworząc szerokie rozpadliny. Ogrody i winnice zostały spalone. Ani jedna kropla deszczu, tak potrzebnego, nie spadła... Niebo było bez łez, tak jak oko komendanta.

Przypisywano to komendantowi. Głuche wieści i szmery niezadowolenia dawały się słyszeć wszędzie... Do uszu dzikiego starca dobiegały wieści o jakichś knowaniach ze strony Indyan. Zaciskał on tylko zęby i spoglądał na swą klingę z Toleda.

Był właśnie ostatni dzień 1798 roku.

Komendant, który nie uczestniczył teraz w ogólnej modlitwie, lecz szukał ciemnego zakątka, gdzie mógł swobodnie oddawać się ponurym myślom, siedział sam w wiekiej sali fortu, ukryty w ciemności.

Naraz, stary wojak ujrzał u swych stóp, łaszącą się, jak psinka, małą Indyankę, Paquitę, niegdyś najbardziej przezeń ulubioną z dzieci, uczących się w szkole.

— Ach, maleńka — rzekł — co tu robisz? Czy nie boisz się mnie, którego każdy unika?...

— O, nie w nocy — odpowiedziało dziecko. — Słucham twojego głosu, który jest taki, jak dawniej, senior komendancie, i nie widzę tego złego oka.... O! to oko nie jest twoje, ono ci przyniesie nieszczęście...

Komendant odprawił dziecko i wkrótce udał się na spoczynek.

Po północy, w sypialni komendanta, zasypiającego ciężkim snem, widać jakiś ruch tajemniczy... Jakaś ciemna postać wślizgnęła się przez okno, inne są w głębi. Postać skierowała się niedosłyszanemi krokami ku wezgłowiu komendanta; przy bladym blasku małej pochodni, coś zaświeciło w podniesionem groźnie ręku ciemnej postaci.

Jeszcze chwila i nić życia komendanta Salvatierry zostałaby przecięta.

Nagle, zabójca ze strasznym krzykiem odskoczył w tył i upadł na ziemię... Komendant spał, ale jego prawe oko, szeroko otwarte, spoglądało przenikająco na zabójcę... To było powodem jego przerażenia.

Hałas upadku przebudził komendanta. W jednej chwili zrozumiał położenie i z wysłużoną klingą z Toleda w dłoni, gromił napastników, wołając na pomoc.

Indyanie byli tchórzliwi; zresztą to straszne oko odbierało im odwagę. Wkrótce przybyła załoga presidia i napad został odparty.

W tumulcie jednak, komendant poniósł poważną stratę... Odebrał w ciągu walki cios w prawe oko. Kiedy potyczka się skończyła, oka nie było na miejscu. Naprożno go szukano. Zniknęło tak samo tajemniczo, jak się przed rokiem zjawiło.

Jednocześnie zginęła fatalność, ciążąca nad okolicą.

Deszcze niebawem pokrzepiły i odświeżyły wysychające pola, trawy zaczęły bujnie rosnąć, ludność spoglądała z zaufaniem na komendanta, dobre stosunki przywrócone zostały pomiędzy władzą duchowną a świecką, a czerwonoskóre dzieciaki, które w gruncie rzeczy uwielbiały poczciwego komendanta, otaczały go teraz kołem.

Odśpiewano Te Deum w kościółku i szczęście zapanowało w dolinach, otaczających San-Carlos.

Tymczasem wzdłuż wybrzeży przesuwała się ciągle goeletta »General Court« pod wodzą Pelega Scuddera, sprzedając wodzom czerwonoskórych plemion naszyjniki szklanne, wyszłe z mody kapelusze, sztuczne oczy, drewniane nogi, tabakierki grające i inne podobne cudowności, sprowadzone z samego Bostonu...

TO I OWO.

AHASVER.

Imię Ahasverusa nosi legendowa postać Żyda Wiecznego Tułacza.

Pierwszy wspomina o nim w swej kronice Mateusz Palis w XIII wieku, na podstawie opowiadania jakiegoś biskupa ormiańskiego. Według tej legendy, kiedy Chrystus skazany został na ukrzyżowanie i kiedy Go wyprowadzono z sali sądowej, żyd pewien, imieniem Kartafilos, uderzył Go pięścią i zawołał szyderczo:

— Idź, idź prędzej, Jezusie, czemu się ociągasz?

Jezus odpowiedział surowo:

— Ja idę, ale ty zaczekasz, aż wrócę.

Słowa te spełniły się, gdyż ów Kartafilos żyje ciągle i tuła się wiecznie po świecie, czekając Sądu Ostatecznego. W chwili męki Chrystusa miał około lat 30 i zawsze, gdy dożywa lat 100, wpada w ciężką chorobę, a po wyzdrowieniu poczyna znowu żywot od 30 roku. Po umęczeniu Zbawiciela, Kartafilos był ochrzczony i nazwany Józefem. Stąd plątano często podanie o Żydzie Wiecznym Tułaczu z legendą o Józefie z Arymatei.

Podług innej wersyi, zawartej w liście jakiegoś Dudulaeusa z XVI wieku, a pochodzącej niby z ust samego Żyda Wiecznego Tułacza, żył w Jerozolimie szewc nazwiskiem Ahasverus. Należał on do przeciwników i prześladowców Jezusa. Kiedy Jezus, krzyżem obciążony, idąc na Golgotę, zatrzymał się dla odpoczynku przed domem Ahasverusa, ten odepchnął Go z obelżywemi słowy. Wówczas Jezus powiedział:

— Ja się zatrzymam i spocznę, a ty pójdziesz.

Odtąd Ahasverus za karę tuła się wiecznie.

Aż do zeszłego stulecia, rozmaici oszuści nadużywali wiary powszechnej w tę legendę i udawali się za Żyda Wiecznego Tułacza. Byli też ludzie, którzy twierdzili, że widywali go co czas jakiś nawet jeszcze w XIX wieku, pod rozmaitemi postaciami. U niektórych narodów podanie o Żydzie Wiecznym Tułaczu łączy się z rozmaitemi wierzeniami ludowemi. Książka ludowa, opowiadająca dokładnie historyę Żyda Wiecznego Tułacza, wielokrotnie była drukowana w językach: niemieckim, francuskim, łacińskim i holenderskim.

Legenda o Żydzie Wiecznym Tułaczu wielu poetom i powieściopisarzom, jak Goethe, Quinet, Lenau, Sue, Schubert, Vulpius, Hamerling itp., dostarczyła wątku do dramatów, poematów lub powieści; Halevy napisał operę do libreta Scribego p. t. „Żyd Tułacz”; Kaulbach, Dore, Antoni Hlaváczek i wielu innych artystów przedstawiło ją w obrazach lub rysunkach.